



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.
 Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

HYMN DO Ś^{tej} CECYLII.

p. A. E. Odyńca.



Ś-ta Cecylia.

O! Cecyljo święta! Za jakież zasługi
 Bóg cię wznosił tak wysoko między sług swych chóry?
 Lub czemuż tam do tój aż pory
 Obok ciebie nie stanął nikt drugi?

Toć gdy dosyć na sztucznych strun dźwiękach,
 Harmonijnych ich pieśniach lub wrzawie —
 Tylu mistrzów moc czaru ma w rękach,
 Tyle imion w światowej brzmi sławie!

O! Patronko! snać w tobie nauka,
 Jakich natchnień i ducha potrzeba,
 By mistrz sztukę uświęcił, a sztuka,
 Aby mistrza podniosła do Nieba.

O! muzyko! ty echo
 Jakby słowa twórczego!
 Kierownico gwiazd biegu w przestrzeniach!
 Ty niebieska pociecho
 Serc i ducha ludzkiego
 W burzach uczuć i życia cierpieniach!

W tobie pokój i zgoda,
 W tobie zapał i tkliwość,
 W tobie myśli swoboda,
 W tobie wiary żarliwość.

Przez cię miłość się budzi
I nadzieja tchnie błoga:
Tyś głos Boga do ludzi,
I głos ludzi do Boga.

Ty uśmierzysz katusze
Szału Saula w rozpacz,
Na tve jęki, Bóg skrusze
Dawidowej przebaczy.

I pokuta ocali
W przepaść wtrąconych pychę;
I grom trąb twych rozwali
Harde mury Jerycho.

Bo choć grzech się wielmoży
Ponad ziemią, swą branką,
Piekło zwalczy duch Boży,
A tyś ducha posłanką! —

O! Cecyljo święta!
Spraw, niech muzyka taka,
Wzorem twoim poczęta,
Duchem twoim natchnięta,
Zabrzmi w duszy śpiewaka!

A nie czeza rozkosz ucha,
Nie czyzy poklask słuchaczy,
Ale potędze ducha
Wtór dusz ludzkich przyświadczy.

I nad czczęj sławy blaski,
Wiara promieniem łaski,
Miłość sercami braci,
Znoje mistrza odplaci.

A gdy przezeń z kolei,
Ogniem świętej nadziei
Świętych czynów zapali się dzielność:
Z natchnień jego te czyny,
To są mistrza wawrzyny,
To cel sztuki — i w tém nieśmiertelność!

JEDYNACZKA.

Opowiadanie przez Maryą Skrzywanową.

(Dokończenie).

III.

Całe to opowiadanie wyda się zapewne młodym czytelnikom bardzo nieprawdopodobnym, opiera się jednakże na zdaniu prawdziwym, a osoba Zani wcale nie jest urojoną. Urodzona w Szkocyi, była to córka znanego i powszechnie cenionego doktora Welsha, w późniejszych latach swego życia sama opisała różne szczegóły swego dzieciństwa, zostawiła także dziennik swój i listy, do różnych osób pisane. Wszystko to zostało wydane po jej śmierci *) i ztamtąd możemy poznać wiadomość o dalszych losach naszej jedynaczki. Wyrosła ona z dziecka na piękną panienkę, pełną energii i zapału. Oddawała się gorliwie naukom ścisłym, nie zaniedbując wcale pola literatury klasycznej, napisała tragedję pięcioaktową na wzór łacińskich.

*) Letters and memorials of Jane Welsh, Carlyle.

Wśród takich to poważnych zajęć poznała człowieka, który miał mieć wpływ stanowczy na koleje jej życia. Był to autor ubogi i mało znany, imieniem Tomasz Carlyle. Wspólne upodobania i zajęcia zbliżyły go do Zani. Można przypuszczać, że młoda osoba, z trafnością sądu właściwą wielu kobietom, odgadła w ubogim pisarzu geniusz, który uczynił go później chlubą ojczystego kraju. W każdym razie polubiła jego towarzystwo, przez czas dość długi pozostawała z nim w przyjacielskich, niby koleżeńskich stosunkach, w końcu postanowili oboje złączyć się małżeństwem.

Matka Joanny opierała się temu przez czas długi, bo niepokojną była o dalszy los córki. Carlyle nie miał żadnych środków do utrzymania rodziny, a co gorsza, był dziwnie ponurego i przykrego charakteru. Urodzony i wychowany wśród gór Szkockich, w ciemnej chacie wieśniaczej, przez ojca mularza a matkę surową kalwinkę, odziedziczył po nich szorstkość w obejściu i zamiłowanie obyczajów prostych aż do grubiaństwa, które były przyjęte przez członków jego rodziny. Pomimo ubóstwa, odbywał nauki w uniwersytecie edynburskim, tak samo, jak wielu innych młodych ludzi tego kraju, którzy przepędziwszy lato na wsi w chacie rodziców rolników lub niemających dzierżawców, udają się późną jesienią do miasta piechotą, zatrzymując się na noclegi w domach przydrożnych, gdzie im nikt gościnnego przyjęcia nie odmawia.

Przybywszy do miasta, najmują sobie skromne mieszkanie i na tem się kończą ich pieniężne wydatki, bo rodzina dostarcza im zapasów żywności z domu; a te zapasy, to zwykle tylko worek kartofli, owsianej kaszy, faska masła i spory kawał słoniny. Przy tak skromnych warunkach życia, studenci edynburscy umieją wytrwać przy pracy lat kilka i po ukończeniu kursów uniwersyteckich, stają się pożytecznymi obywatelami kraju i bardzo często odznaczają się na polu wiedzy.

Tak było i z Tomaszem Carlylem, który po skończeniu nauk oddał się pracy literackiej, lecz pierwsze jego próby były ciężkie i nieudatne i nikt prócz Joanny Welsh nie odgadwał w nim wtedy przyszłego znakomitego historyka i filozofa. On sam podobno nie przeczuwał bynajmniej przyszłej wielkości swojej; zrażony niepowodzeniem i trudnościami, które spotykał na każdym kroku, nie umiając sobie poradzić w obec grożącego mu niedostatku, wcześniej zaczął myśleć o tém, że dobrzeby mu było mieć żonę, pamiętającą o kłopotach i troskach powszedniego życia, aby je od męża oddalić i ułatwić mu oddanie się zupełne piśmiennictwu. Poznawszy Joannę, wcześniej ocenił przymioty jej umysłu i serca, a wiedząc przytém, że jej majątek może mu dopomóc do osiągnięcia niezależnego bytu i uwolnić go od szukania ciężkiej pracy na kawałek chleba, postanowił pozyskać jej rękę.

Nie łatwą to było sprawą: Ojciec Zani już nie żył, ale matka mocno wierzyła, że córka jej, owa wypieszczona i ukończona jedynaczka, piękna, majątna i wyjątkowo wykształcona osoba, może wyjść za człowieka stosowniejszego charakteru, wychowania i położenia towarzyskiego. Zania długo się wahała: przemogła w niej nakoniec chęć zostania pomocą, opiekunką prawie człowieka, którego geniusz odgadowała i z którym spodziewała się podzielać życie wzniosłej umysłowej pracy, wśród grona uczonych i myślicieli.

IV.

Zaraz po ślubie młodzi małżonkowie przybyli do Edynburga i zamieszkali w domku, najętym i urządzonym dla nich przez panią Welsh. Mógł więc obecnie Tomasz Carlyle oddać się tej pracy autorskiej, która była mu potrzebą; mogła i nasza bohaterka pracować z nim razem, dopomagając mu do zbierania historycznych materiałów, lub wykonywając nie jedną pracę pod jego kierunkiem.

Stało się jednak inaczej. Carlyle rzeczywiście oddał się piśmiennictwu. Zamknięty w swym gabinecie całymi dniami, lub odbywający w zamyśleniu długie samotne przechadzki, nietylko, że nie znosił żadnego towarzystwa, lecz najmniejszy szmer albo ruch w domu rozdrażniał go tak bardzo, że jak sam się wyraża w swoich „Wspomnieniach”, tracił odrazu

wszystkie pomysły i był niezdolnym do pracy przez dni kilka.

Żona widywała go w czasie obiadu lub wieszery, a przez resztę czasu obowiązana była oddalać od niego wszelkie interesa, wszelkie bodaj najłżejsze domowe kłopoty. Drzwi ich mieszkania szczerlnie były zamknięte dla zewnętrznego świata, nikt nie odwiedzał Carlyla i on także nie bywał nigdzie. Zdarzało się, że całymi tygodniami nie przemawiał do żony ani słowa, wprawdzie nie z braku przywiązania lub szacunku dla niej, ale dla tego, że w tym czasie powstawały w umyśle wielkiego myśliciela takie dzieła, które miały unieśmiertelnic jego imię.

Czém się stała dla niego nasza Żania, w jaki sposób potrafiła wytrwać w tém zupełnym wyrzeczeniu się samej siebie, wszystkich swoich upodobań i nadziei, o tém możemy się dowiedzieć z dziennika, który przez wiele lat pisywała stale. Pieszczona jedynaczka, której wola była dotąd prawem dla kochającej rodziny i domowników, wzięła na siebie całą powszednią prozę życia, dla tego, aby mąż jej mógł swobodnie oddać się pracy i twórczości umysłowej. I codziennie, wstawszy bardzo rano, zajęta była w kuchni i w pralni; sama szyła bieliznę i odzienie dla siebie i męża, sama załatwiała wszelkie sprawunki w domu i za domem. Jest ustęp w jej pamiętnikach, gdzie wspomina o zdziwieniu krawców, do których pani Carlyle chodziła obstałować ubranie dla męża.

Niejedna kobieta potrafiła tak samo jak ona wyrzec się ulubionych zajęć i oddać się powszednim gospodarskim pracom, ale mało która potrafiła to uczynić z taką pogodą i wesołością, jak nasza Żania. „Małe przykrości są niczém, jeśli umiemy je brać lekko lub w żart obrócić, lecz stają się prawdziwymi utrapieniami, gdy sobie z nich robimy wielkie rzeczy”, tak pisała w swoim dzienniku.

Jako rodowita Szkotka, nie lubiła Angielek, otóż porównując swoje rodaczki z Angielkami, mówi: „Angielki wywracają oczy ku niebu na samą wzmiankę o tém, że można wziąć garnek z farbą i samej swój domek pomalować”. Widocznie, że ona sama tej roboty próbowała. W inném miejscu pisze pani Carlyle o potrzebie szanowania pozostałych odłamków chleba, które nieraz w większych domach angielskich całymi kosztami marnują się i wyrzucają. „My tu w Szkocyi nie wiemy, co to znaczy zmarnować kromkę chleba”.

Po dniu pracowicie spędzonym, następowała nakoniec dla młodej kobiety chwila najmiłsza, to jest godzinka, którą mąż w jej saloniku przepędzał. Czekala tej chwili z upragnieniem, a wtedy w świeżem ubraniu, z uśmiechem na twarzy, witała męża i rozpoczynała swobodną, wesołą gawędkę, z której starała się zawsze oddalić wszelką wzmiankę o swoich gospodarskich kłopotach lub osobistych przykrościach; przeciwnie, umiała wynaleźć przedmioty, mogące choć na chwilę rozpodzielić i rozjaśnić ponury umysł Carlyla. Nawet w ciężkich chwilach, których szereg wkrótce dla niej się rozpoczął, potrafiła ustrzedz się skarg i narzekania, okazując zawsze jednakową pogodę umysłu.

IV.

Po kilku miesiącach pożycia małżeńskiego, interesa Carlyla pogorszyły się znacznie, ubóstwo a za nié niedostatek zajrzały do ich mieszkania. Żania pozostała spokojną. „Raz dałam sobie słowo, że mój mąż nie będzie sprzedawał swojej pracy, pisząc za pieniądze, mawiała, i dotrzymam słowa, chociażbym miała nic nie jeść na wieszery prócz klejku owsianego”.

Wkrótce potem Tomasz Carlyle postanowił rzucić mieszkanie w Edynburgu i przenieść się do małego domku w górach szkockich, który jego żona odziedziczyła po swoich rodzicach, ale który był niestety, bardzo niestosowném mieszkaniem dla kobiety młodej, przywykłej do towarzyskiego życia, a co najważniejsza, dla kobiety bardzo delikatnego zdrowia. Samego Carlyla nęciła ta dzika, samotna miejscowość, unikał ludzi i wszelkich stosunków z nimi i cieszył się,

że w tém miejscu odludném zakończy się to, co on w zarozumiałości nazywał *walką z ludzką głupotą*, a żona jego będzie już zupełnie oswobodzoną od wszelkiej próżności światowej. Lecz ona biedaczka drżała na samą wzmiankę o mieszkaniu w Craigenputtock, jednak żadném słowem nie sprzeciwiła się woli męża i wkrótce zamieszkała z nim razem w samotnym domku, położonym w górskiej okolicy hrabstwa Dumfries, w *najbrzydszej i najsmutniejszej części Szkocyi*, mówi biograf Carlyla.

Teraz rozpoczęło się dla biednej naszej jedynaczki życie niezwykłych trudów i pracy nad siły. Nietylko że przez dzień cały trzeba było biegać od obory do kuchni a od kuchni do piwnicy, ale przedmioty niezbędne do życia trzeba było dostawać, jeżdżąc konno o kilka mil naokoło (mila angielska równa jest naszej wiorście). Zdrowie Żani znacznie na tém ucierpiało, a wilgoć i surowy klimat powiększały kaszel i ból w piersiach. Jakie były jej wrażenia w tych trudnych chwilach, najlepiej ona sama opowie:

„Domek nasz w Craigenputtock otoczony był torfiastymi bagnami; o szesnaście mil naokoło niczego dostać nie było można; nie było sklepów żadnych, ani nawet biura pocztowego. Ież to rzeczy musiały się wtedy nauczyć. Byliśmy bardzo niemajątni, nie mieliśmy środków do opłacenia porządnej sługi. Przekonałam się wtedy w sposób oczywisty, że mąż najwyższego umysłu robi dziury w szkarpetkach i również często traci guziki od koszuli, jak i inni śmiertelnicy. Ja jedna mogłam na to poradzić i radziłam też, jak mogłam”.

„Na domiar złego, mąż mój nie mógł jeść chleba pieczonego (i niedopieczzonego) w Dumfries, najbliższém od nas miasteczku, ponieważ chleb ten nabawił go choroby żołądka. Nic mi nie pozostawało, jak tylko piec chleb w domu. Sprwadziłam sobie książkę kucharską i zajęłam się po raz pierwszy trudném dziełem stworzenia bochenka chleba. Nie znając się zupełnie na urządzeniu ciasta ani na paleniu pieca piekarnianego, tak się źle urządziłam, że mój bochenek poszedł do pieca o godzinie, w której ja powinnam była iść do łóżka i zostałam wśród nocy sama jedna, czuwająca w samotnym domu na bezludziu. Wybiła pierwsza, potem druga, potem trzecia, a ja ciągle czuwałam sama, upadając pod zmęczeniem ciała, a jeszcze bardziej pod bolesném uczuciem poniżenia i opuszczenia. Jaktó, ja, wypieszczone dziecko ojca i matki, ja, od której nigdy nic nie żądano prócz kształcenia swego umysłu i zdobywania nauki, ja dziś przepędzam noc na doglądaniu bochenka chleba, z którego może nigdy chleba nie będzie!... Te myśli tak mnie rozdrażniły, że oparłszy głowę o stół gorzko płakać zaczęłam”.

„Wtedy nie wiem doprawdy dla czego przyszedł mi na myśl Benvenuto Cellini, czuwający całą noc nad piecem, z którego nad rankiem miał wyjść model posągu jego Perseusza i spytałam się sama siebie, czy w oczach Tego, który z góry na nas patrzy, jest wielka różnica między posągiem Perseusza a bochenkiem żytniego chleba, jeśli jedno, tak jak i drugie, przedstawia spełnienie obowiązku? Artysta włoski czuł się powołanym do odtworzenia ideału piękna, który w sobie nosił; gdyby jednakże był kobietą, i mieszkał w Craigenputtock z mężem, chorującym na żołądek, użyłby prawdopodobnie swojej energii, cierpliwości i pomysłowości dla stworzenia dobrego bochenka chleba.”

„Nie umiem wypowiedzieć, ile pociechy i siły wlała we mnie ta myśl w ciągu lat kilku, które przeżyliśmy w tej pustyni. Ież to razy, gdy w ciągłej samotności i oddaleniu od myślącego świata, obarczona pracą nad siły, blizką byłam szaleństwa lub rozpacz, ratowała mnie tylko myśl, że wartość i wzniosłość uczynków naszych nie zależy od ich wielkości i znaczenia, ale od ducha, w którym je spełniamy. Ież to zmarnowanych zdolności, ile zapalów, co się z dymem rozwiały, ile losów ludzkich wykołejonych, dla braku cierpliwości i wytrwania”!

V.

Kilka lat minęło. Joanna Carlyle doczekała chwili, w której mąż jej uznany został za chwałę swojego kraju.

Wszystkie jego znaczniejsze dzieła były już wydane i mógł wtedy osiąść spokojnie we własnym domu, w Londynie. Ustawił ciężkie domowe przykrości, skończyła się praca służebna, której się Joanna tak cierpliwie oddawała od czasu pójścia za mąż. Mogła teraz cieszyć się powodzeniem i sławą męża, bo i jedno i drugie było w znacznej części jej dziełem. *Biedny ten geniusz*, jak go pani Carlyle żartobliwie w swoim dzienniku nazywa, nie byłby prawdopodobnie sam potrafił podołać trudnemu zadaniu życia.

Wszystkie te dobroczynne zmiany przyszły jednak zapóźno. Zdrowie pani Carlyle, znacznie nadwątlone przez pracę i niewygody zbyt ostrego klimatu, pozostało już bardzo słabym. W ciągu kilkoletniego pobytu w Londynie niewiele miała dni swobodnych od cierpień; nosiła je mężnie, tak jak i przedtem wszelkie trudności i przykrości znosić umiała. Mąż nie okazywał jej szczególniej troskliwości, nie było to w jego charakterze zajmować się cudzemi dolegliwościami, może się nie domyślał nawet, że ta żona, zawsze pogodna i cicha, nosi już w sobie zarodek ostatniej choroby. Oddany teraz zupełnie światu, który składał hołdy uznaniej wielkości jego talentu, mało miał czasu do zajęcia się chorą żoną.

Pani Carlyle przeżyła ostatnie swoje ziemskie boleści również samotnie, jak pierwsze lata małżeństwa. Na kilka miesięcy przed śmiercią choroba jej się wzmogła i gwałtowne cierpienia trwały już bez przerwy. W sam dzień swojej śmierci kazała się zawieźć na zwykłą codzienną przejażdżkę i tam w powozie śmierć ją zaskoczyła, w Kwietniu 1866 roku. Niedawno wydane jej listy i pamiętnik, jak również biografia jej męża napisana po jego śmierci, dały poznać tę złą i szlachetną istotę, której losami pragnęłam młodych czytelników zainteresować.

POCIĄG POWIETRZNY.

Rysunek nasz przedstawia olbrzymi balon, słusznie nazwany pociągiem powietrznym, gdyż złożony jest z ośmiu mniejszych balonów, połączonych w jedną całość. Nie wyobrażajcie sobie jednak, czytelnicy, że okazały ten pociąg szybuje tak rzeczywiście ponad wieżami miejskimi, ponad kłębami dymu, buchającymi z lokomotyw, i unosi licznych podróżników w szlaki powietrzne. Jest to dopiero projekt pewnego Amerykanina, a choć na rycinie wygląda prześlicznie, niewiadomo jeszcze, czy z wykonaniem pójdzie wszystko tak gładko, jak sobie wynalazca obiecuje.

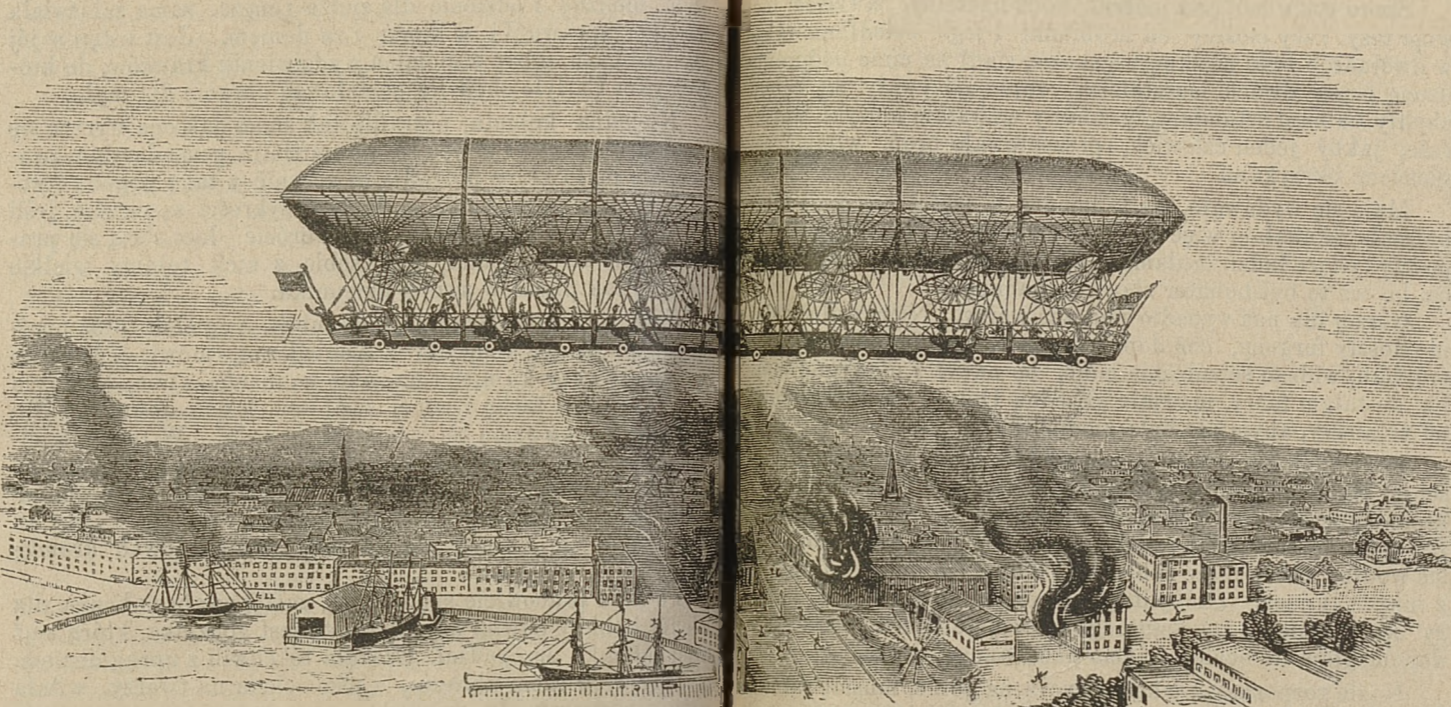
Sto lat już minęło, jak Francuz Montgolfier wynalazł balony i wszyscy wówczas zachwycali się tym pomysłem, bo wyobrażano sobie, że można będzie żeglować w powietrzu z taką samą łatwością, jak po morzu. Zrazu nie szło to wprawdzie gładko, ale każdy sobie tłumaczył, że z czasem będzie lepiej, bo przecież wszystkie wynalazki ulepszać się muszą i doskonalić coraz więcej, aby ludziom prawdziwy pożytek przynieść mogły.

Tymczasem minęło sto lat, a balony niewiele się ulepszyły, chociaż niejedyn nad tęp pracował, nie szczędząc trudów i kosztów. Okręty na morzu nie na wieleby się ludziom przydały, choćby były najpiękniej, najmocniej zbudowane, gdyby nie można było nimi kierować. Nikt pewnie nie miałby ochoty wybrać się w podróż morską, gdyby nie wiedział, gdzie go okręt zaniesie, czy do Ameryki, czy do Indji, czy do Australii. Tak jednak było przez lat sto z balonami. Żeglarz powietrzny puszczać się musiał na wolę wiatru, nigdy przewidzieć nie mógł, gdzie go balon uniesie, bo kierunek wiatru często się zmienia. Jeśli ktoś chciał skorzystać z wiatru północnego, dajmy na to, aby się puścić na południe, mogło się zdarzyć, że wiatr w godzinę zmienił się nagle i nasz podróżnik, jak niepyszny, zaleciał w inną zupełnie stronę. Niezbyt dawno drukowane były w Piśmie naszym „Podróże

napowietrzne” prawdziwe, przypominacie więc sobie zapewne, jakie to zabawne lub niemiłe niespodzianki spotykały nieraz żeglarzy, którzy się na te niepewne przygody puszczaali.

Ale przed rokiem rozeszła się nagle wieść po całym świecie, że dwaj inżynierowie francuzcy, pp. Renard i Krebs, wynaleźli sposób kierowania balonami. Balon tych panów, mający kształt cygara, tak samo, jak ów amerykański, który na rysunku widzicie, rzeczywiście unosił się wobec licznych świadków w kierunku z góry oznaczonym, okrążył znaczną przestrzeń i powrócił na miejsce, z kąd był wypuszczony. Żeglarze kierowali nim za pomocą steru, śruby i maszyny elektrycznej, która ten przyrząd w ruch wprowadzała.

Nigdy nie podobnego nie widziano przedtem i znowu zaczęto się zachwycać świetnym tym wynalazkiem, w nadziei, że teraz już żegluga powietrzna wejdzie na dobrą drogę, i że niezadługo będziemy mogli unosić się balonami ponad ląd i morza, z ptakami idąc w zawody. Podróżnicy, którzy dotychczas nie mogli dotrzeć do bieguna północnego, ani okrę-



tem, ani saniami, teraz obiecują sobie, że z łatwością tam pofruną balonem.

Niewiadomo jeszcze, czy piękne te nadzieje się spełnią, pp. Renard i Krebs utrzymują wynalazek swój w tajemnicy, nie słysząc jakoś, aby urządzano większą ilość podobnych balonów i przedsiębrano nimi dalsze podróże, czekamy więc cierpliwie, co to z tego będzie. Amerykanie jednak czekać nie chcą i widocznie mają ochotę wyprzedzić Europejczyków. Zebrano więc już w Nowym Yorku 100,000 dolarów na wybudowanie owego olbrzymiego pociągu powietrznego i rozpoczęto robotę. Jeżeli próby się powiodą, dzienniki doniosą o tym natychmiast, i my też nie omisszamy podzielić się tą wiadomością z czytelnikami naszego Piśma. Lecz jeżeli teraz, po ogłoszeniu projektu, nastąpi dłuższe milczenie, będziemy mogli się domyślić, że wszystko spełzło na niczym.

DOŁA DOŁY.

Opowiedziana przez Wielisława.

Nie wypadłam, jak dawna szlachta mówiła o zacnie urodzonych, sroce z pod ogona, bo urodziłam się w pięknej, na świat sławnej hrabiowskiej stajni.

Matka moja była księżniczką, ród swój wiodącą od arabskich Kohelianów, ojcem mym przesławny Monitor, zwycięzca na wszystkich szrankach wyścigowych Europy, więc bohater o sławie jeszcze od Moltkiego szerszej.

Zacność mej krwi odbijała się w całym usposobieniu mojem. Nikt wyżej odemnie nie zadzierał kształtnego łebka na wyniosłej szyi, nikt pogardliwiej nie przymrużał, spoglądając z wysoka na ludzi, dumnego i ognistego czarnego oka. Chód mój był wspaniały i pewny siebie, grzywa jak pela jedwabna, nóżka najdrobniej arystokratycznych kształtów, pierś pełna wdzięku, jakby utoczona, czegoż mi więc i brakowało do po-

nie było bolesnym, a niestety stanowiło przedsmaki innych plag, które mi mój srogi los w przyszłości miał zgotować. Zresztą dbał o matkę wzorowo, a i mnie, gdy mnie od rodzicielki odsadzono, sam poił krowiem mlekiem i w zbudowanym przez siebie żłobek sypał codziennie dostatni obroczek.

Pierwszy więc rok od urodzenia mego przepędziłam w najswobodniejszy sposób, miłowana, cackana przez wszystkich, regularnie pojona i żywiona, nie miałam o niedostatku i nie-szczęściu najmniejszego wyobrażenia. Pamiętam moje wrażenie, gdy pierwszy raz wypędzona z matką na sąsiednią łączkę, nabrała pojęcia o wspaniałościach przyrody, słońca i świata Bożego, wydawało mi się, że on cały do mnie należy, biegłam, wierzgałam bez końca, aż Dżon nas do stajni nie bez trudu napędził. Pamiętam i noc jakąś zimną, którą obok matki spędziłam, w której podziwiałam tajemnicze uroki gwiazd i księżyca, zawieszonych w niezmierniej oddali i przestrzni i mówiłam do siebie, że w tak pięknie urządzonym świecie, nic złego dla nikogo, więc i dla mnie, wypaść chyba nie może.

Niestety! było to złudzenie podobne do tego, które nawiedza wiele takich jak ja losu pieszczoszek.

Niedługo miałam się przekonać, że niekoniecznie szczęśliwie zaczęte życie zwykle się na szczęściu kończy, bo po tej zimnej nocy okrywano mnie derami ciepłymi, z obawy, czym się nie przeziębila, jednak po kilku dniach oderwano mnie od matki, której już od tej pory nie zobaczyłam nigdy, a wpędzono do jakiejścis zagrody.

Tam znalazłam więcej takich jak ja zrebic i zrebaków, te chciały mnie przywitać, jako równą sobie koleżankę; kilka wierzgnęć energicznych w same zęby napastników przypomniało im, że mają do czynienia z księżniczką. Odstąpiły odemnie, ale wkrótce przybył wraz z innymi jakiś jegomość, który mnie z pogardzonymi na zawsze połączył.

Sumiaste jego wasy, twarz ogorzała, od razu mi się nie spodobały, kazały mi się domyślać, że jakaś ważna zmiana w losie moim zajdzie. Oglądał mnie, badał bardzo starannie, kazał opukać, przepędzać innemu, co przy nim stał z torbą pełną ostrych narzędzi żelaznych, w końcu pogardliwie na mnie ręką machnął, a lubo mowy ludzkiej nie rozumiem, pojęłam od razu, że mówi do hrabiego, wychowawcy i dobroczyńcy mego, jakom łask jego dotychczasowych nie warta.

W ślad za tym wyrokiem, widać nieodwołalnym siadł na konia jakiś chłopak bosy, obdarty, brudny podobnych mu w życiu w stajni nie widziałam, ani miałam wyobrażenia, że żyją podobni Hotentoci u nas i ten zaczął nas z zagrody owiej wypędzać. Chciałam mu przypomnieć względy, jakie się księżniczce wszędzie należą, ale uzbrojony silnym i długim biczem, od razu mi dał poznać, że do szanowanych, pieszczonych księżniczek należeć nie mam prawa, nie mając po temu odpowiednich kwalifikacji, z całej siły za mój opór wymierzonym razem, po którym na mojej nietkniętej dotąd skórze wystąpiła potężna, bolesna pręga.

Co się ze mną po tej doznanej zniewadze działo, opowiedzieć trudno; powściągnięcie tego mego oporu, powtórzone kilka razy, przekonało mnie, że w tym obdartusie mam pana, którego woli słuchać potrzeba, gdy inaczej być nie może. Cała więc zboliała, rozgorączkowana, kłusem za innemi biegłam na łąkę. Tu nowość widoku, strawy i swobodnej przestrzeni, po której bując mogłam z całą swobodą, pogodziła mnie z moim losem. Towarzysze moi, głównie same młode zrebce, zawsze okazywali mi pewne uszanowanie; więcej do cierpienia miałam od pasących się społem kłaczek, które za coś lepszego się miały odemnie i tyłem wykręcały, gdy się zbliżała do której. Wcześniej zrozumiawszy moje położenie, mniej jednak od innych odbierałam biczów od naszego dozorcę, który mnie wszakże widocznie nie lubił i przezywał niedojdą, nie szczędząc raczej obelg, aniżeli razów, których nadużywać mu nie było wolno.

Tak rzeczy przetrwały blisko dwa lata, gdy znowu pewne-

go poranku spędzono nas do owej zagrody, tam znalazł się i teraz ten jegomość o sumiastych wąsach, szczególnie, nie wiem za co, dla mnie nieprzychylny. Znowu więc zaczął nademną machać ręką, gdy na szczęście moje hrabianka, która także tam była, a której się podobałam dla mleczno białej mej sierści, wyprosiła u ojca, abym się dostała do niej na wierzchówkę. Odprowadzono mnie przeto znowu do owej wielkiej stajni, w której pierwszy raz ujrzałam światło dzienne i zaczęto się zajmować moją edukacją.

Ale mi tu już nie tak dobrze było, jak pod skrzydłami opieki mojej najdroższej matki, szczegóły drobiazgowo nowego mojego życia kazały mi nieraz zatęsknić za wolnością stepu.

Od rana już chłopak stajenny odrapywał mnie starannie ciężkim a ostrem zgrzeblem, to znowu twardą szczotką, a kiedy mu wierzganiem i kopaniem dawałam poznać, iż to czyni w sposób nieznośny, uwiązaną krótko do żłobu tłułkł niemiłosiernie, tak jednak, aby śladu na skórze od tego bicia nie zostało, bo się bał za to odpowiedzialności przed koniuszym. Przyszło do tego, że zniecierliłam go, a na głos jego drżałam cała.

Po kilku dniach tego czyszczenia, przystąpiono do samej nauki. Codzień więc jakiś jegomość, w czerwonej kurtce ubrany, uzbrojony w bolesną szpicrutę i długie, kolące ostrogi, przychodził do mojej zagrody, z początku głaskał, pieścił, cukier dawał, ale skoro już raz tyle mnie ułagodził, żem pozwoliła sobie włożyć między zęby kawał żelaza na rzemieniu, wyprowadziwszy, wskakiwał mi na plecy i co chciał ze mną wyrabiał. Trzeba było całemi godzinami deptać po miłkim piasku, to znowu stać spokojnie, albo najeżdżać podług jego woli do znudzenia wiecznie jedne i te same cztery ujeżdżalni kąty, a za każdym oporem z mej strony, szpikował mi ostrogami boki, albo ściągał bez miłosierdzia szpicrutą.

Tak umęczona, zziąjana, pokryta pianą cała, nieraz wracałam z zakrwawionemi od wędzidla dziąsłami i znowu mnie wycierano, skrobano, czesano, zaplatano włosy.

Po miesiącu tej nużącój nauki, włożono na mnie czaprak i siodło, a co gorsza, przyszedł kowal i mimo żem się ile mogła opierała, podkuł ciężkimi żelazami moje nogi. Dopiero potem zaprowadzono mnie przed pałac, gdzie pośród mnóstwa osób, dziwiających się mej urodzie, pierwszy raz dosiadła mnie hrabianka.

W istocie w lustrach, które w stajni naszej wisiały, dopatrzyłam, żem wyrosła na klacz wcale piękną i pokaźną. Nie miałam w sobie dystynkcyi i szlachetności matczynój, ale budowy byłam silnej i ziemia tylko jęczała pod moimi kopyty; nie byłam może w ruchach moich dosyć zwrotna, ale nogi jakby ze stali, a chód dla jeźdźca miły, lubo szybki i ognisty, czynił, że się podobałam wszystkim, matka tylko hrabianki wyrażała obawy, czym dosyć łagodna?

Niestety! łagodność i posłuszeństwo nie leżały w moim charakterze. U hrabianki służba była wygodna, dbano o mnie wielce, ona pieściła, karmiła, to chlebem z solą, to poddawała łakoci, a że zimę przepędzała w Warszawie, lato zagranicą, ledwo że przez miesiąc lub dwa w jesieni, jeżdżąc za chartami, bywałam cokolwiek umęczoną.

„Chleb ma rogi i bodzie”, mówi przysłowie i słusznie; powodzenie to w obowiązkach u dbałej o mnie pani, bo nawet z zagranicy pisywała, pytając, co robi Doly? rozuczwalilo mnie w końcu. Kiedyś, gdy zajeżdżała na mnie przed pałac, słyszałam, jak wołała na nienawistnego mi zawsze masztalera, aby przyszedł mnie zabrać. Nie wiem zkąd na widok tego człowieka zły duch poszepnął mi, aby zamiast mu się oddać, użyć na chwilę swobody.

Jednym więc wierzgnięciem wysadziłam z siodła hrabiankę i wypadłam za bramę, by pohulać po polach. Tarzając się, połamałam siodło, podarłam czaprak, porwałam cugle, jednak niedługo trwała ta rozpusta, dopędzili mnie stajenni i jak niepyszną sprowadzono znowu do żłobu. Gdy tę samą fantazją powtórzyłam raz, drugi i trzeci, matka hrabianki nie pozwoliła córce na mnie więcej jeździć i usłyszałam wtedy pierwszy raz tyle złowrogi później dla mnie wyraz: *sprzedać!*

Zaczęły więc schodzić się do stajni różne indywidua, które miałam ochotę kąsać albo roztratować, żydzi, faktorzy, różni obdartusy, a wszyscy bez ceremonii zagładali mi w zęby, wyciągali język, ściskali za grzdycę, śmielsi siadali na mnie. Aż nareszcie pewnego dnia wyprowadzono mnie na dziedzińiec, tam poznałam owego księcia generała, którego kopnęłam w młodości. Na widok dawnego znajomego lekko zarżałam, co mu się widać podobało, bo zaraz po obejrzeniu mnie przez drugiego bez szlif wojskowego, masztalerz książęcy w stosowanym kapeluszu podskoczył ku mnie i przeprowadzono mnie do jeneralskiej stajni.

Tu jakkolwiek było mi dobrze, nie tak jednak, jak u hrabianki. Wznowiono ze mną naukę, znowu trzeba było po kilka godzin codziennie deptać po piasku maneżu, wylaamywać kark podług woli berejtera, nie szcędzącego ostrogi, nadto trzeba było stać cierpliwie pośród luku armat, wrzasku ogłuszającej muzyki, znosić spokojnie nawet puszczone z umysłu pod mój nos finfy z zapalonego papieru, albo pistoletu strzały.

Nieprzyjemności te wszakże osładzały tryumfy odnoszone na placu parady.

Skoro tylko mój pan generał, wódz naczelny, nawiasem mówiąc trzy razy cięższy od hrabianki i jego osiódlenie także w dwójnasób było ciężkie, wojskowe, siadł na mnie podprowadzoną przez dwóch masztalery, zaraz odzywały się bębny, chyliły ku nam sztandary, grzmiały wszystkie muzyki, wojsko całe, jakby jeden człowiek, prezentowało broń, witając nas głośniami okrzykami.

Mnie się wydawało, że te honory w części się mnie także należały, skakałam więc jak jaka baletniczka teatru, na którą patrzy tysiące ludzi, czułam się upojoną wielkością mego jeźdźca, bo też to był bohater sławny, znamienity.

Gożej dla nas wypadło podczas wojny. Nieraz dla wodza nie doszły furgony, cóż dopiero mówić o moim obroku, lubo mój pan, widząc schudzenie moje, bo nawet z niewygód biwaku dostałam febrę, mawiał: „Biedna Doly!” i kupował chleb od żołnierzy, abym nie była głodną.

Raz pamiętam wypadła sroga bitwa, koni, co im wnętrzości od kul armatnich wypadły, widziałam setki, okulaawionych, które zabierali chłopci, jeszcze więcej, nieraz też rozmyślałam, że i mnie ten los czeka; kulawa, bez nogi, nie będę mogła nosić wodza, chłop mnie zabierze i skórę ze mnie zedrze, jak z innych tysięcy. Szczęśliwy los mój na początku mej kariery ocalił mnie od tak smutnego na wojnie końca, przeciwnie, dopomogłam do ocalenia życia ukochanego wodza.

Nagle rozpoznając jakąś pozycją na górcie, musiał ratować się ucieczką przed silnym nieprzyjaciela oddziałem, co napadł z boku na niego. Zrozumiałam całe niebezpieczeństwo, mimo że wystrzał z pistoletu oberwał mi kawał ucha, przesadziłam w moim panem rów, trzy razy od siebie szerszy, nadbiegła pomoc, odpędziła napastników, generał lubo ranny ocalał; mnie z tego nadzwyczajnego wysiłku pozostał nieznośny ból w łopatce, na co zrazu mało zważałam.

(d. n.)

LANDGRAFÓWNA ZOSIA

POWIEŚĆ Z CZASÓW RYCERSKICH

przez M...a.

(Dalszy ciąg).

— Milcz, nikczemniku! — krzyknął, ale w tejże chwili, spojrzawszy na twarz brata, zamilkł, jak piorunem rażony, bo na twarzy tej wyczytał jasno podejrzenie, którego ziarno dopiero co Chryпка wrzucił w serce Henryka.

— Bracie, jakto, czyliżbyś ty wierzył tym poduszczeniom służalca, który podobno pragnie mi miłość twą odjąć? — krzyknął Konrad.

— Dotąd, nie zupełnie jeszcze — zimno rzekł Henryk — przyszłość zależeć będzie od tego, jaką w niej rolę zechcesz zagrać.

Słowa te, a szczególnie sposób, w jaki były powiedziane, niły głęboko Konrada, który pomimo wpływu złego towarzysza, zachował duszę kłwiwą i serdeczną miłość żywił dla pana.

— A, jeżeli tak — rzekł również zimno, jak Henryk — to wam ręce od téj sprawy, nie będę przeszkadzał, aby nie jedziano, że ci zazdroszczę, ale oświadczam stanowczo, iż wszelkie działanie przeciw prawom Hermana II, synowca naszego, uznaję za nieprawne i nieuczciwe, nad czém zastanów się jeszcze, bracie, zanim pierwszy krok na fałszywej drodze awisz, zaklinam cię!

Go rzekłszy, wyszedł Konrad z komnaty, a przywoławszy bę, rozkazał jęj przenieść nieliczne swe ruchomości z sąsiedztwa Henryka w najdalszy kąt zamku, jakby w ten sposób okazać chciał, że zrywa z nim i nie odpowiada za jego sprawy. Ani mu na myśl nie przyszło, że umywanie rąk nie czy w wielu razach na obmycie serca z winy obojętności czynnej w chwili, gdy działanie obowiązkiem było.

— Idę rozesłać ludzi do panów rycerzy z wezwaniem, przybywali na rozkazy twoje, książę! — rzekł Chryпка, mając zadowolenie i niskie składając ukłony przed landgrafovą własną swęj kreacji. Znał on doskonale Henryka i chciał, że próżność była główną pobudką jego, również i chęć używania życia w najpospolitszy, przyjemny dlań sposób.

— Czekajno, wierny słuگو—rzecze Henryk zakłopotany—m wszystkim Konrad ma słusność, gdy zastanowić mi się radzi; pomyślmy co będzie, gdy wystąpię z tym pargaminem w ręce wobec panów rycerzy turyngskich? Wszakże w kraj brzmi dotąd uwielbieniem słuszném cnót i dobroci najwspanialszego księcia Ludwika, a zatem występując przeciw prawom jego syna, czyliż mogę zyskać stronników?

Chryпка zbliżył się bardziej do księcia i cicho rzekł:

— Kwiat rycerstwa pojechał z księciem Ludwikiem, a to zostało nie warte jest troski, rozrzutność księżnej oburza cię i nie wszystkich, a w ostatnim razie... — machnął głową wierny słuگو i pobiegł rozsyłać gońców, jak to zapowiedział był księciu przed chwilą.

Tegoż dnia jeszcze trzech tych gońców, pędząc co koń skoczny w różne strony, stanęli każdy przed innym możnym panem turyngskim, wymawiając jedne i te same słowa umówione.

— „Znaleziono; słaby przystał; co ma być, niechaj będzie!”

Wybór turyngskiego rycerstwa znajdował się pod owę wile w odległej krainie, na wyprawie krzyżowej, gdzie stał książę Ludwik. Korzystając z téj okoliczności, kilku ludzi o wyniosłych umysłach a niskich duszach postanowiło zgarnąć władzę, zastawiając się ku temu urojeniami prawami księcia Henryka. Spisek był już rozgałęziony i dojrzał. W trzy dni później zwołano wielki sąd, na którym przybawując niby formy prawa, przeprowadzono cały proces przeciwko małoletniemu Hermanowi II-mu.

VII.

Na zamku wartburskim.

W olbrzymiej i wspaniałej sali potężnego zamku, wzniesionego na wyniosłej górze, bawiło się czworo drobnych dzieci pod pilnym dozorem młodej i ślicznej dziewczyny, tak pełnej powagi, jak się to rzadko u podobnych dziewcząt zdarza. W przestronnej sali sklepionej, o bardzo wazkich i wysolonych murach, zamkniętych w głębokie framugi, przystrojona była w bogatą prostotę starych wieków, o jakiej dzisiejsze dzieci nie chcą. Główną ozdobę jęj ścian stanowiły zbroje i broń, gęsto nabijana i wysadzana drogocennymi kamieniami, a oprócz tego sama przez się tak doskonałego wyrobu, że znałby rycerz, wstępujący na próg téj rycerskiej sali,

oniemieć musiał na widok tych nieobliczonych prawie skarbów, przybierających jęj ściany. Kosztowne marmury wyściełały posadzkę. Szyby, cenna rzadkość owczesna, drobniutkie, ale prawdziwe szyby szklane, dzwoniły w oknach w oprawie z ołowiu. W głębi sali, na malém wzniesieniu nakrytém czerwonym sukniem, stało jedno krzesło wyższe, niby tron i kilka niższych naokoło niego. Zamek ten był to rycerski zamek wartburski, z którego okolicznym ziemiom panowali landgrafowie turyngscy. W téj to sali odbyły się w swoim czasie sławne przez wieki popisy znakomitych owoczesnych poetów-pisarzy, tak zwanych *minnesingerów*, czyli słynna w literaturze niemieckiej „wojna wartburska” r. 1206, za panowania landgraфа Hermana I-go, otoczonego głośnym ze swęj świetności dworem *).

Niewiele lat upłynęło od tych czasów do chwili, w której się nasza powieść zaczyna, ale liczne i smutne zmiany zaszły przez ten czas na zamku wartburskim. Mądry i zany Herman I już nie żył; nie żył i godny syn jego, landgraf Ludwik, który oddał Bogu ducha na wyprawie krzyżowej, z cesarzem Fryderykiem II, na wezwanie papieża Grzegorza IX przedsięwziętej. Czworo drobnych dzieci, znajdujących się obecnie w wielkiej sali wartburskiego zamku, były to dzieci Ludwika, przebywające w zamku pod opieką babki i matki.

Młoda i piękna panienska, pilnująca dzieci, trzymała na kolanach maleńką Gertrudę i kołysząc dziecinę, opowiadała trojuj starszym o wspaniałych turniejach, jakie niebawem odbywały się w milczącym i żalobą okrytym teraz zamku wartburskim, i o uroczystościach uczonych i świętych, w teje samej odbywanych sali. Dzieci słuchały ciekawie, otoczwszy ukochaną młodą towarzyszkę, poopierane na jęj kolanach.

— A ojciec Ludwik, którą zbroję miał wtedy na sobie? — pytał sześciolatek Herman II-gi, landgraf panujący turyngski pod opieką matki, wedle rozporządzeń ojca.

— A matka, jak była wtedy ubrana, panno Guto? — pytała Zofia.

— A babka Zofia i dziad Herman byli także przy tém? — pytała Zosia, trzecia z porządku, bo zwyczajem owych wieków uprzywilejowane imię powtarzało się w rodzinie. I młoda Guta opisywała szeroko stroje pań, wskazywała zbroję tę i owę wśród innych na ścianie, a tymczasem maleńka Gertruda zasypiała, odziana już w szaty podobne do zakonnych, bo, także obyczajem dawnym, przeznaczoną była do klasztoru wolą rodziców.

— Dostę tego siedzenia w sali — rzecze Guta — zbyt ciężka wilgoć nie pozwala nam wyjść do ogrodu, ale pójdźmy pobiegać po zewnętrznych krużgankach — i wyprowadziła dzieci na wspaniały krużganek zamkowy, z którego roztaczał się widok na dziedziniec, do rycerskich zabaw urządzony, a przez roztwartą w téj chwili bramę widać było drożynę, biegnącą stokiem wyniosłej góry, i w oddali miasto Eisenach, u stóp jęj bielejące.

— O, matka idzie do chorych, matka księżna! — zawołały dzieci i przestały biegać, przypatrując się z radosnym uśmiechem postaci niewieściej, która się w téj chwili w dziedziniec gwałtownie, uśmiechem odpowiadając na ich uśmiechy. Elżbieta, córka króla węgierskiego Andrzeja II, wdowa po Ludwiku, landgrafie turyngskim, słynna w dziejach z uczonością, pięknością i niezwykle świątobliwego życia, miała wówczas lat dwadzieścia, zamężną była od trzynastego roku życia, a wdową od niedawna uczyniły ją wieści, przyniesione z odległej krainy. Jednakże już od chwili rozstania z mężem młoda księżna, obyczajem pań świątobliwych owoczesnych, przywdziała szaty wdowie i pokutne, nakrywając niemi ostrą włostnicę, i wiodła życie surowej pobożności oddane. Właśnie wyszedłszy i teraz z zamku, postępować prosto ku założonemu przez się szpitalowi, widocznemu z daleka na stoku góry. Uśmiechnąwszy się do dzieci i Guty, ukochanej swęj przyjaciółki, przebyła już roztwartą bramę, gdy tuż za nią

*) Wojna ta opisana była w powieści „Gwiazdka węgierska” drukowanej dawniej w „Wicez. Rodz.”

zjawiła się powstająca jakby z pod ziemi straszna, niby mara postać, ranami, wrzodami zaraźliwymi i okropnym trądem okryta. Nędzarz nieszczęsny, snadź nie mogąc dowlec się do zamku, słynnego z gościnności dla takich jak on gości, upadł przy bramie i teraz, jak widziało, powstawał przed nadchodzącą, domyślając się tój, do której z dalekich okolic dążyli tacy, jak on, nieszczęśliwi. Powstawszy, wyciągnął ręce do księżnej i upadł znowu bezsilnie. Księżna uklękła przy nim, postawiła przy sobie koszyk, jaki zawsze nosiła z różnemi potrzebnymi rzeczami na takie wypadki i zaczęła obmywać chorego i opatrywać.

Z daleka, z krążanku zamkowego, prócz dzieci, patrzyła teraz na księżną, ciężko wzdychając, wspaniałej postawy pani, Zofia, landgrafowa wdowa po Hermanie I-szym. Nie mówiła nic, ale dosyć było spojrzeć na twarz jej wyraziłą, aby widzieć cały wstręt i boleść, jakie napełniały ją na widok zająca synowej.

Księżna Zofia była także zacną i dobroczynną panią i najlepszą matką, ale daleką była od nadzwyczajnej pobożności Elżbiety, doprowadzającej tę ostatnią do „szaleństw”. Tym wyrazem dobra i kochająca zresztą matka nazywała zawsze postępowanie synowej, rozumiejąc przez ten wyraz, nie tylko najwyższą przesadę w cnocie, ale nawet podobno i rodzaj obłędu, chociaż nigdy nie powiadała tego głośno, tak, jak to wielu innych ludzi czyniło.

VIII.

Książęce sieroty.

Gdy tak z różnemi bardzo uczuciami kilka osób z krążanku patrzyło na księżną Elżbietę, tymczasem na drodze z miasta Eisenach ukazało się kilku jeźdźców o poważnej powierzchowności i silny zastęp zbrojny za nimi. Ludzie ci wstępowali pod górę ku bramom wartburskiego zamku, aż stanąwszy przy księżnie Elżbiecie, cofnęli się z przerażenia na widok chorego nędzarza.

— Czego ci ludzie chcą? co oni mówią do księżnej, córki mojej? — pytała sama siebie niespokojnie księżna Zofia.

— O, jak trąbią ładnie! — zawołał mały Herman.

— Prawda, ale to nie ci ludzie, to z Eisenach słycać głos trąb, tak, jakby herold miał coś ogłaszać; co to być może? — pytały księżna Zofia i Guta, zdumione spoglądając na siebie.

W istocie, w téjże chwili w Eisenach, tak jak i w całej Turyngii, herold po otrąbieniu na cztery strony świata, ogłaszał co następuje:

„My, Henryk landgraf Turyngii, wstąpiwszy na książęcy tron naszych naddziadów, na mocy starych praw, powołujących nań najstarszą mężką głowę rodziny, zakazujemy wszystkim wiernym poddanym naszym wszelkich stosunków z Elżbietą Węgierską i z jej dziećmi, która dopełniwszy miary występnych obłędów swoich, zubożywszy Turyngią, postawiwszy ją nad przepaścią zguby na łasce sąsiadów, zostanie z woli całej Turyngii, panów, rycerzy i szlachty, z zamku nieprawnie dotąd posiadanego wartburskiego wygnaną i z władzy i uczciwego imienia wyzutą. Każdy przekraczający rozkaz obecny udzieleniem jakiegokolwiek, by najmniejszej pomocy Elżbiecie Węgierskiej i jej dzieciom, uważany będzie za zdracę kraju i odpowiednio karany. Ściągnie na siebie karę Boską i gniew księcia panującego.”

Równocześnie prawie z tym rozkazem, wygłaszanym w mieście Eisenach, brzmiał i na dziedzińcu wartburskiego zamku wyrok podobnej treści.

„My, Henryk landgraf Turyngii, wstąpiwszy na tron naszych naddziadów, na mocy starych praw, powołujących nań najstarszą mężką głowę rodziny, rozkazujemy tobie, Elżbiecie Węgierskiej, córce Andrzeja, ustąpić nam z zamku naszego wartburskiego, wraz z czworgiem swoich dzieci i zamieszkać w mieszkaniu ustronném, wyznaczoném ku temu, gdzie w tychmiast odwiezioną będziesz, a to aby ocalić Turyngią, postawioną przez cię nad przepaścią zguby szaloném marnotrawstwem twojém i dzikiemi występkami, skrywanemi pozasłoną udanej pobożności”.

(d. c. n.)

ZAGADKA (M. P.).

Niegdyś w greckich i rzymskich bogów byłem kole,
Dziś szukaj mnie na niebie, a czasem na czole.

Krzyż z podstawą.

	1	
	.	
26	.	30
	.	
	.	
	.	
	23	25
18	.	22
11	.	17

Od 1 do 10 imię i nazwisko królewicza polskiego z XV wieku

„ 11 — 17 miasto w którym Michał Wiśniowiecki zawarł pokój z Turcyą.

„ 18 — 22 rzeka wpadająca do Dunaju.

„ 26 — 30 miasto w gubernii kaliskiej.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Prozy i poezyi:

WRZESIEŃ.

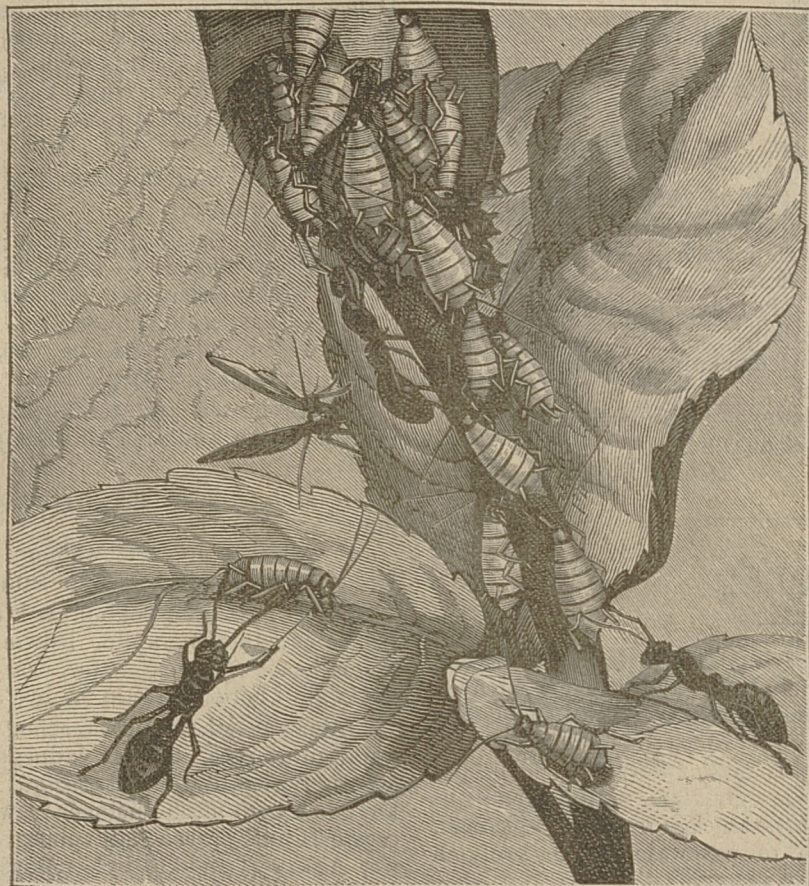
Nie stawało miodu,
Wrzesień plastrem wita;
Już nie umrzesz z głodu,
Dziatwo pracowita!
Gospodarzu, do cię
Bóg i ludzkość woła:
Chleba daj sierocie
Wosk daj do kościoła!
Jeśliś wosk jesieni
Zbierał sam dla siebie.

Syrokomla.

Łamigłównki zegarka:

Remiz — Relsy — Raróg — Rozum — Radau — Rodan
— Rdest — Reces — Ruszt — Rabka — Rapir — Ranny.
Zygmunt Stary.

TRĘŚĆ: Hymn do Ś-tój Cecylii (z drzew.) — Jędynaczka p. Maryś Skrzywanową. — Pociąg powietrzny (z drzew.). — Dola Doly p. Wielisława. — Landgrafówna Zosia, powieść z czasów rycerskich p. M—a. (c. d.) — Łamigłównki i rozwiązania. W Dodatku: Hodowla bydła u mrówek (z drzew.). — Matka i dziecię wiersz p. M. W. — Modlitwa ptasząt. — Modlitwa Marcinka. — Skrzyńka do listów. — Łamigłównka, rozwiązanie i ogłoszenia. Dodatek książkowy: Brat i siostra, powieść z niemieckiego.



Mrówki i mszyce.

Hodowla bydła u mrówek.

Sądzić może, kochani czytelnicy, przeczytawszy tytuł powyższy, że to jakiś żarcik, a może bajeczka. Tymczasem mrówki hodują naprawdę w podziemnych swoich mrowiskach prawdziwe bydełko, tak zupełnie, jak ludzie utrzymują przy domu krówki dojne, ażeby mieć smaczne mleko.

Te krówki, jak widzicie na obrazku, są to także owady, nazywają się mszyce, żyją na różnych roślinach, wysysając z nich sok słodki. Mrówki także ten sok bardzo lubią i tyle mają roztropności, że wołają go sobie zabrać od mszyc, aniżeli wysysać mozolnie. Cóż więc robią? Chwytają mszyce, biorą je do niewoli, niosą do mrowiska i tam pielęgnują je, dostarczają im stosownego jedzenia, byle tylko zbierały dla nich ulubiony przysmak. Mszyce sączą ten słodki syroppek dwoma długimi różkami, umieszczonymi w odwłoku, a mrówki pochłaniają go chciwie, nie czyniąc przytém żadnej krzywdy swoim krówkom.

MATKA I DZIECIĘ.

— Powiedz mi, mateczko — pytała dziecina.
— Dla czego się ludzie tak smucą,
Gdy lato przeminie? Jakaż w tém przyczyna,
Czy ta, że ptaszątka nie nucą?

Bo zresztą i w zimie, cóż złego być może,
Choć czasem śnieg pada, wiatr wieje,
W pokoju ciepłutko choć zimno na dworze,
O! piecyk wybornie zagrzeje.
I zabaw wśród zimy nie zbraknie na świecie:
Po śniegu mkną szybko saneczki,
Najeździć się można, poślizgać też przecie,
Pobawić w śniegowe piłeczki.
A potem, gdy w święta gwiazdeczka zaświeci,
O! wtedy uciechy niemało,
Rodzice wyjmują podarki dla dzieci...
O lale! śnię nieraz noc całą.
Ozdobna choinka, pierniczki, daktyle,
Małoż to rozkoszy... uciechy...
Przeróżnych przysmaczków, ach! tyle... ach! tyle!
Wesołe dokoła brzmiały śmiechy.
Po świętach karnawał, wesołe zapusty,
Znów nowe rozrywki, rozkosze,
Ot! tańce, zabawy, i pączki, i chrusty,
Więc czegoż się smucić, no, proszę!
— Posłuchaj uważnie, co powiem ci, dziecieniu,
Ty szukasz chwil szczęścia, wesela,
Lecz iluż to, iluż biedakom na świecie
Taż zima leż tylko udziela.
Czyż każdy mieć może wygodne mieszkanie,
Czyż każdy się zimna ustrzeże?
O! wierz mi, że zima jest straszną, kochanie,
Niejedną ofiarę zabierze.

I chłodno, i głodno po trudzie, po pracy,
 Wiatr mroźny przejmując do kości,
 Ciepłego posiłku nie mają biedacy,
 Zaprawdę są godni liłości!
 A w Święta?... mój Boże! choć pięknie zaświeci
 Gwiazdeczka na niebios błękitach,
 Ubodzy nie mają podarków dla dzieci,
 A często nie mają na życie.
 Tam niema choinki, tam niema uciechy
 Tam boleść panuje głęboka,
 Nie zdobią twarzyczek wesołe uśmiechy,
 Lecz łezka zawisnie u oka.
 Więc widzisz, dziecińco, jak przykrą jest zima,
 Choć tobie dokuczyć nie może;
 Lecz pomnij, że biedny okryć się czém nie ma
 I zagrzać, gdy zimno na dworze.
 Nie tylko o sobie pamiętać potrzeba,
 Lecz także o bliźnich niedoli;
 Czyż można się cieszyć, gdy innym brak chleba,
 Czyż serce nie czuje, nie boli!
 O! dziękuj serdecznie, o! dziękuj, me dziecię,
 Że nieba ci dały dostatki,
 Lecz za to pamiętaj o biednych na świecie,
 Z pomocą do nędznej bież chatki!

Helena Bojarska.

J E Ź.

Było to w połowie lata, gdy matka wyszła raz z dziećmi na przechadzkę do lasu. Na raz słyszą jakiś szmer w suchych liściach, leżących tuż obok nich na ziemi. Dzieci spoglądały w stronę, z kąd szmer się odezwał i przysłuchiwały się uważnie. Po chwili wyszło z zarośli małe zwierzątko, około pół łokcia długości mające, z małym ogonkiem, wydłużonym, spiczastym pyszczkiem, dwoma błyszczącymi oczętami i gęstymi, szaremi brwiami. Zwierzątko to posuwało się na krótkich nóżkach i oglądało na wszystkie strony.

— Moja mamo, co to jest? — zapytał młodszy z chłopczyków, Adaś.

— Jeź — odpowiedziała matka — tylko nie dotykaj go się, dziecko.

Adaś, jeszcze nie doczekawszy przestrogi matki, wyciągnął rączkę, żeby uchwycić jeża, ale jakież było jego i wszystkich dzieci zdziwienie, gdy ten w jednej chwili przemienił się w okrągły kłębek, cały jakby najeżony igłami.

Adaś, który był bardzo ciekawy, zaczął prosić matki, by mu pozwoliła zbliżyć się do jeża.

— Niech mi mama pozwoli choć raz go dotknąć — prosił natarczywie.

— Dobrze, ale pamiętaj, żebyś później nie narzekał.

Zaledwie Adaś dotknął się małego zwierzątka, gdy gwałtownie odskoczył, wołając:

— Ach! cóż to za potwór, jak on mię pokłuł, poranił mi obie ręce.

— Ależ to jest bardzo ciekawe zwierzątko — powiedział Broniś, 10-letni braciszek Adasia — chciałbym je poznać i bliżej mu się przypatrzeć; niech mama nam poradzi, jakby to je zabrać z sobą.

— Weźcie kosz, któryśmy przynieśli na grzyby, przybliżcie go bokiem do jeża i pręcikiem wepchnijcie zwierzątko do kosza.

Dzieci z wawo się zabrały do leżącego nieruchomie kłębka, wtoczyły go do kosza, przykryły wieczkiem i zaniosły do domu. Przyszedłszy tam mali ciekawscy przewrócili kosz; jeź wypadł, ale się nie ruszał.

— Nie żyje zapewne — mówił Adaś — a jaki złośliwy, że kolce na nas stroszy nawet i po śmierci, żebyśmy go dotknąć nie mogli.

— Miejmy trochę cierpliwości — odpowiedziała matka — zachowajmy się spokojnie, bośmy jeża nastraszyli.

Z trudem Adaś wysiedział kilka chwil spokojnie; ale narazie igły jeża się poruszyły, wysunął łapki i pokazał pyszczek. Potem jeź zaczął się przesuwać po stole, ale widać, że mu się to bardzo nie podobało, bo brwi miał nasepione i oczki bardzo smutne. Doszedłszy do brzegu stołu, spojrzął w dół ze zdziwieniem i po jakimś czasie wrócił na drugi brzeg stołu, a nie utrzymawszy równowagi upadł na ziemię. Dzieci myślały, że się zabił, ale on leżał tylko zwinęty w kłębek, igły mu posłużyły za ochronę. Dzieci mu przyniosły mleka, które bardzo chętnie wypił. Ale przypatrzeć mu się jeszcze było trudno, bo ciągle się skręcał i chował. Potworek ten znużył w końcu Adasia, który też radził odnieść go do lasu.

Nazajutrz, w czasie lekcji matki z Bronisiem, wpadł Adaś zaperzony, wołając:

— Mamo, Broniś, proszę tu przyjść prędzej!

— Czego chcesz? — zapytała matka.

— Wasze zwierzątko kochane, cha, cha, cha!

— Cóż się stało, powiedz?

— Ależ to pijak, cha, cha, cha! i jaki pijak!...

— Kto pijak, co ty pleciesz?

— Ale bo ten jeź, ten kochany jeź. Nalałem mu dzisiaj zamiast mleka wódki, a on sobie pije w najlepsze. Cha, cha, cha!...

— Ach, Adasiu, cóż ty zrobiłeś — zawołał Broniś — może mu to zaszkodzi!

— Alboż ja go częstowałem i zapraszałem, przecież nalałem tylko na spodeczek, a on sam wypił.

Dzieci poszły do pokoju, w którym był jeź. Biedne zwierzątko zupełnie się upiło, ledwie chodzić mogło po pokoju, czepiając się ciągle sprzętów, czasem się przewracało, to znów wstawało i coraz zdawało się być słabsze.

Adaś zanosił się od śmiechu. Broniś zbliżył się do jeża, wziął go na ręce, ten bez żadnego oporu pozwolił się pieścić, a po upływie kilku minut zasnął. Broniś położył go w pudełku, gdzie było nieco zielonej trawki. Jeź spał bardzo długo, często Broniś przychodził zobaczyć, czy zwierzątko żyje. Nawet Adasiowi przykro było pomyśleć, że z jego przyczyny jeź może przepłacić życiem tę zabawę.

Nie wiedziały dzieci, jak długo spał jeź, gdyż dopiero na drugi dzień rano Broniś przyszedł do niego; jeź chodził sobie wtedy zupełnie spokojnie po pokoju. Ale jakaż w nim zaszła zmiana! pozwalał podejść do siebie, głaskać, brać na ręce, nie wystawiając swych kolców i nie zwijając się w kłębek, jak to czynił jeszcze wczoraj.

Teraz dzieci z łatwością już się z nim zapoznały bliżej.

Przez cały dzień prawie jeź spał, a szarą godziną tylko spacerował po pokoju.

W domu, gdzie teraz zamieszkiwał, było dużo kuchennego robactwa, z niem też toczył najzaciętszą walkę. Raz chodząc z pokoju do pokoju napotkał pudełko, gdzie było kilka polnych koników, świerszczów i chrabąszczów, które Broniś dla siebie nazbierał; nie czekając długo zrzucił wierzch od pudełka i spożył owady, stanowiące zbiorek Bronisia. Często dzieci oprócz owadów przynosiły mu żaby, jeź i tęp nie gardził, zjadał je bardzo chętnie, ale zawsze najlepiej smakowało mu mleko z bułeczką. Czasem wynosiły dzieci swego wychowawcę do ogrodu i to mu się widać bardzo podobało; chodził i szukał sobie zdobyczy, przewracał każdy listek, każdą suchą gałązkę i z pewnością żaden robaczek nie mógł się uchować przed jego delikatnym węchem.

Tak jeź przeżył całe lato.

Pięknego jesiennego dnia, dzieci bawiły się z jeżem w ogrodzie. Naraz ich wychowawiec chowa się do wielkiego stosu suchych liści, przewraca się w nim i po kilku chwilach staje na nóżki i o Boże! cóż to był za widok. Suche liście pozostawały na jego kolcach, a on powoli się posuwał w tęp przebraniu. Zdziwione dzieci pobiegły za nim, żeby zobaczyć, co dalej z sobą robi.

Koło samego płotu pod krzakiem był wykopany dół, a w nim trochę liści z drzew i mchu, tu zrzucił jeź i liście,

które przyniósł. Odtąd ilekroć dzieci brały go z sobą do ogrodu, zawsze w to samo miejsce znosił liście.

W końcu Listopada były imieniny stryja i cała rodzina wyjechała do niego, a ponieważ było to dość daleko, więc zabawiła tam dni kilka. Po powrocie pierwszą myślą dzieci było powitać jeża, ale jakież był smutek, gdy nigdzie go znaleźć nie mogły; pobiegły do ogrodu, do ulubionego miejsca pobytu jeża i rzeczywiście znalazły go tam leżącego, nawpół przykrytego liśćmi i z zamkniętymi oczyma. Dzieci smutne wróciły do domu, opowiadając matce, co się stało z ich przyjacielem.

— Nie troszcie się o niego — rzekła matka — on sobie przygotował łóżeczko i w niem prześpi aż do nastania dni wiosennych.

— Bo on pewno myślał, że my nie potrafimy go uchronić od zimna, nierozumne stworzenie! — rzekł urażony na jeża Broniś.

M. W.

MODLITWA PTASZĄT.

Julcia mieszkała z mamą i z ojcem w dużym i ładnym mieszkaniu na trzecim piętrze. Lecz dom stał na wzgórzu, wśród ciasnych, gwarnych i ruchliwych ulic. Z okien i z dwóch balkonów widać było w górze niebo, niżżej tłum dachów i kominów niezmierny, a pomiędzy nimi w głębi ulice, jak wężyki i linijki, gdzie niegdzie szersze trochę place, z trochę zieleni zwane z angielska, skwery; daleko zaś, daleko, na wprost jednego balkonu, widać było jakby srebrny błyszczący w słońcu pas, a to była rzeka, której Julcia dobrze wiedziała nazwisko. Tyle widywała Julcia dniami i nocą ze swego mieszkania, a że nigdy nie wyjeżdżała za miasto, nigdy więc nie widziała, ani rozległego pola, ani śpiewu ptasząt nie słyszała. Słyszała tylko wśród ciasnych ulic bezprzystanny turkot, gwar i hałas. Gdy Julcia spała już dawno w łóżeczku, powozy wciąż turkotały okropnie, a rano przed świtem już zaczynały dźwięczeć i jęczeć okropne wozy i stukot żelaza, które przewożono do fabryk będących w bliskości. Hałas był bezustanny i kto inny nie przyzwyczajony do niego od urodzenia, jak Julcia, nie zniósłby go z pewnością. To też i rodzicom Julci sprzykrzyło się to nakoniec, a choć nie chcieli im się kłopotać z przeprowadzeniem, postanowili wreszcie zmienić mieszkanie. Rozumie się, że zmieniając mieszkanie z przyczyny zbytecznego ulicznego hałasu, poszukali czegoś wprost przeciwnego i dla tego Julcia zdumiona, na raz jeden, po pewnym niezmiernie dziwnym dniu, jakiego nigdy wprzód nie widziała w życiu, znalazła się w mieszkanku daleko mniejszem niż poprzednie bo pierwszopiętrowem, ale główne jego okna wychodziły na ogród, pięknymi drzewami zarosły, a ogromne kasztany prawie zaglądały do okien. Przy przeprowadzaniu, ojciec był ciągle na nowym mieszkaniu, a mama na starym, a pani Marya, mamy przyjaciółka, chodziła za rzeczami. Julcia, oczywiście była ciągle przy mamie i dopiero o szóstą godzinie wieczorem przyjechała wraz z mamą do nowego mieszkania. W progu spotkała ojca, który zaraz wziął Julcię za rączkę, poprowadził ją do okna i rzekł:

— Patrz-no, Julciu i słuchaj!

— A!... a!... — szepnęła zdumiona dziewczynka i zamilkła z wielkiego zdumienia, bo to, na co ojciec zwrócił jej uwagę, było niesłychanie dziwne: oto z olbrzymiego kasztanu oblanego jeszcze ostatnimi blaskami słońca, gdy wieczorne cienie już nadchodziły, wydobywały się dziwne a prześliczne dźwięki, których rodzaju Julcia w żaden sposób poznać nie mogła, chociaż już różne muzyki i śpiewy słyszała i nawet miała ucho tak muzykalne, że umiała każdy, niezbyt trudny śpiew powtórzyć, a otóż od razu spostrzegła, że tego, czego teraz słuchała, nie potrafi powtórzyć. Słuchała długo, aż buzię roztwierając troszeczkę i rzecze:

— Co to jest takiego, mój ojciec? słucham i słucham i wcale tonu uchwycić nie mogę! podobne do śpiewu ptaszek, ale przecież czasem w ogrodzie słyszałam świągot ptaszek, lecz tamte zupełnie inaczej śpiewały, a te... o! o! teraz! to ustają śpiewać to znowu rozpoczynają i czemu one wszystkie tak zgodnie śpiewają, kto je wyuczył?

Rodzice śmieli się do łez z zachwyty i podziwu Julci, a ona spoglądała na nich, nie wiedząc z czego się śmieją? aż ojciec tak powiedział:

— Nie mylisz się, moje dziecko, jest to istotnie chór ptaszęcy, a wyuczył je Ten któremu codziennie śpiewem dziękują za życie.

— Więc one się modlą? — zapytała dziewczynka.

— Tak, moje dziecię, modlą się jak umieją, a jutro o wschodzie bardzo rano powtórzą to samo i jeszcze wyraźniej wtedy posłyszysz tego ptaszka, który pierwszy przebudziwszy się zacznie oblatywać na około drzewa, budząc swój chór urywanem świągotaniem, aż zbudzi wszystkich i dopiero jak za skinieniem dyrektora muzyki, zabrzmią modlitewne ich głosy. Tak dzieje się nie z jednym drzewem, które ptaszęta jakoś sobie upodobają, a to wskazuje ludziom piękny harmonijny ład panujący w przyrodzie i naturalny obowiązek wznoszenia ducha ku Stwórcy, przynajmniej dwa razy dziennie, jak to czynią wszystkie ptaszęta.

MARCINEK.

Stara Jacentowa była bardzo biedną kobietą. Syn jej zginął na wojnie, synowa umarła, zostawiając pod jej opieką sześciolatniego Marcinka. Jacentowa od rana do nocy krzątała się pracując, lecz przeszło sześćdziesięcioletniej kobiecie trudno zapracować na wyżywienie siebie i dziecka. Często więc oboje szli spać bez wieczery, a Jacentowa, skłopotana i zmartwiona, chodząc po ubogiej izdebce, powtarzała:

— Skarałeś mnie, Panie Boże, na moje stare lata, człowiek niema pociechy z dzieci, ni chleba kawałka! Ach Boże! Boże!

I wdychała starowina. Po tych wszystkich skargach żegnała się pobożnie, i pocichu odmawiała zwykłą wieczorną modlitwę.

Jednego dnia Jacentowa wróciła jakaś żwawsza do domu; wypłacono jej całotygodniowy zarobek, i dodano jeszcze kawałek słoniny. Na przyszły zaś tydzień ksiądz proboszcz zamówił ją do pielienia kwiatów w ogrodzie, bo była bardzo zręczną do tej roboty.

— A przyprowadźcie i Marcinka, to się tam czém pożyw — dodał pocziwy proboszcz.

Jacentowa więc była w dobrym humorze i nie mrucała swojej zwykłej skargi, lecz spojrzawszy, że Marcinek leży spokojnie w kąciku na łóżku, zapaliła przed obrazkiem Matki Boskiej małą lampkę i przeżegnawszy się odmówiła po cichu wieczorną modlitwę i spać się położyła.

W poniedziałek zaraz poszła do pielienia ogrodu księdza proboszcza, zabierając ze sobą uradowanego Marcinka. Chłopiec, chociaż mały, pomagał babce, wynosząc wypielone zielisko i układając je na taczkach, które potem Jacentowa miała wywieźć i wyrzucić w dół na to przeznaczony. Marcinek dostał obiad i był bardzo uradowany. Przed wieczorem wyszedł ksiądz proboszcz do ogrodu, a widząc, że Marcinek pracuje, jak umie, pochwalił go za to i zapytał:

— A umiesz ty pacierz, chłopcze?

— Umie, proszę jegomości, ale jeszcze nie cały — odpowiedział śmiało chłopiec.

— No, to powiedz, co umiesz.

— „Skarałeś mnie, Panie Boże, na moje stare lata! człowiek niema pociechy z dzieci, ni chleba kawałka! Ach Boże Boże! W imię Ojca, Syna i Ducha świętego” — kończył mówiąc jednym tchem Marcinek.

— A ciebie kto takię modlitwy nauczył? — pytał zdziwiony proboszcz.

— A to proszę jegomości, babcia codziennie jak przyszła z roboty, zawsze tak mówiła, a ja leżąc już w łóżku za nią powtarzałam i zapamiętałam.

— A inną modlitwę babusia cię nie uczyła?

— Uczyła, ale tamtej nie umiem jeszcze, bo tylko czasem w niedzielę mówię ją z babusią.

Proboszcz uśmiechnął się na tę odpowiedź Marcinka, powiedział mu, że to, co powtórzył, nie jest modlitwa; wytłómaczył mu, że babunia narzekała, bo jest stara a nie ma pociechy z dzieci i nie ma nikogo, ktoby na nią zapracował.

Chłopiec patrzył zdziwionymi oczyma na księdza, który mu słówko po słówku tłumaczył tę skargę, a gdy skończył, Marcinek rzekł:

— To dopiero, a ja myślałem, że się babusia modli, ale kiedy babusia nie ma pociechy dotąd z dzieci, to przecie jak urosnę, to będzie miała ze mnie pociechę i kawałek chleba, bo ja na chleb zapracuję!

— To dobrze, moj chłopcze, że masz ochotę do pracy, lecz przedewszystkiem przychodź do mnie, to cię nauczę pacierza a może i czego więcej — rzekł poczciwy proboszcz głaszcząc chłopca po głowie.

Odtąd Marcinek codziennie przychodził na plebania, uczył się wielu pożytecznych rzeczy, a przy modlitwie dodawał: „Daj mi Boże być pociechą babuni”. Że zaś chłopiec miał zdolności do muzyki, proboszcz oddał go do szkoły i kazał uczyć grać na organach. Jacentowa, pracując po swojemu, doczekała się pociechy z wnuka, siedzi sobie spokojnie u Marcinka, który teraz jest organistą, wszyscy go szanują, zarabia uczciwie na siebie i na Jacentową, która tak ciężko pracować nie potrzebuje. A Marcinek śpiewa na organach pobożne pieśni, a gdy kończy modlitwę, zawsze powtarza: „Daj mi Boże być pociechą mojej stariej babusi”.

Skrzynka do listów.

Firletka biała ślicznie napisała listek, jak na siedmioletnią dziewczynkę, wcale tego nie widać, aby z ustawianiem literek tyle miała kłopotu. A cóż to za poczciwe serduszko musi mieć ta Firletka, skoro pieniążki, własną pracą, to jest pilnością w naukach zebrane, przeznaczają dla ubogich dzieci. Przesyłamy jej za to bardzo serdeczny uścisk. Rubelek oddany już biednym dziewczynkom, które modlą się o zdrowie kochanej Firletki. Odpowiedź się opóźniła dla tego, że osoba, która listki odczytuje i odpisuje na nie, dla poratowania zdrowia wyjeżdżała z Warszawy. Dziś znacznie na siłach pokrzepiona powróciła i zasyła wszystkim miłym korespondentom swoim serdeczne pozdrowienie, prosząc aby jaknajczęściej pisywali. Małą Anielcię, podobną do czupurnego kogutka, niech Firletka uściska od redakcyi i podziękuje za 40 gr. przesłane dla ubogich.

Gwiazdka może być pewną, że serdeczna jej przyjaciółka, pomimo długiego milczenia, nie przestała jej kochać i ucieszyła się niezmiernie na widok przesłanej fotografii. Doszła już była dawniej do nas wiadomość o chorobie Gwiazdki, nie wątpimy, że zupełnie już przyszła do zdrowia, skoro egzamina i popis miała na głowie, pisząc do nas. Kazio jest już także na stanowisku, przesyła ukłony, niezadługo sam się przypomni czytelnikom.

Czeremcha z nad Cetyni rozsądnym i uprzejmym listkiem swoim przyjaźń naszą na zawsze pozyskała. Nie możemy sobie przypomnieć, co mogło być niemiłym dla niej w odpowiedzi poprzedniej, gdyż staramy się zawsze, ażeby nawet i przestrogi, dawane niekiedy młodemu korespondentom, nie mogły im żadnej sprawić przykrości. W każdym razie Czeremcha kochana wielką nam sprawiła przyjemność, upewniając w tak serdeczny sposób, że nie mogłaby nigdy mieć do nas żadnej urazy. Wszystkie szczegóły o rodzeństwie, o naukach, odczytaliśmy z wielkim zajęciem. Nauczycielce winszujemy szczerze, że umiała sobie pozyskać taką

przychylność uczennic. Kazio, przeglądając cenzury Czeremchy i Skoczki, kiwał tylko głową w milczeniu, nakoniec westchnął z lekka, odgadliśmy z jakiego powodu... podobno pomimo największej pilności nie zawsze mu się udawało zdobyć podobne. Co wcale nie ma znaczyć, aby miał złe cenzury, broń Boże, tylko czasami bywało w nich mniej piątek z krzyżykami, niżeli u Czeremchy.

Konwalia z Gaju przysłała wierszyki, prosząc o ich wydrukowanie i o sąd pobłażliwy. My sądzymy, że Konwalia z Gaju nadto ma rozsądku, aby nam za złe wzięła, jeśli zdanie nasze wypowiemy otwarcie. Pisać wiersze, zasługujące na to, aby były drukowane, rzecz to wcale nie łatwa, trzeba wprzód zapoznać się z prawidłami poezyi, zrozumieć dobrze, co to jest miara wiersza, rytm i umieć stosowne rymy dobrać. Niechże Konwalia wprzód nad tém wszystkiem popracuje, przeczyta jaknajwięcej pięknych utworów naszych znakomych poetów, a wówczas niezawodnie wdzięczną będzie redakcyi „Wieczorów”, że pierwszej nieudolnej próbki jej wierszowania nie wydrukowała.

Jaskółka z nad Granicy nie czytuje teraz „Wieczorów”. Prosimy więc siostrzyczki jej młodszą, która pozostała w domu i Pismo nasze odbiera, o adres Jaskółki, bo mamy dla niej posyłkę.

Do wszystkich. Na inne listki, przesłane podczas lata do redakcyi, odpowiedzi podamy w N-rze następnym i odtąd korespondencya bez żadnej przerwy będzie prowadzona.

HOMONIMY.

Jako statek — po wodzie płynę;
Jako miasto w tym kraju słyne.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 37-go.

Homonimów:

Kula w broni palnej, i kula, na której się wspiera kaleka.

MAGAZYN BIELIZNY I TRYKOTAŻY A. RIEDEL

Krakowskie Przedmieście Nr. 15

przygotował znaczny wybór bielizny dla studentów i pensyonarek, którą sprzedaje po cenach możliwie niskich lecz stałych. 3—2

FLORENTYNA Z KOSTROWICKICH CYWINSKA,

przyjmuje dla wspólnej nauki panienki dobrze wychowane do lat 15, francuzki, niemiecki i angielski język w wykładzie codziennym.

ulica Chmielna Nr. 26 mieszkania 7.